Agnieszka Wojdowicz

Morze trzcin

Księga życia Hili Campos

NASZA KSIĘGARNIA

Przeczytaj również tom pierwszy:

CÓRKA GŁOSU

Księga życia Hili Campos

Text © copyright by Agnieszka Wojdowicz, 2018

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”,
Warszawa 2018

Projekt okładki Monika Pietras

Zdjęcia na okładce:
© Chamille White/Shutterstock.com
© Elena Ray/Shutterstock.com

szej, a więc języka, którym współautorzy objaśnialiby prawa rządzące światem i przyczyny nieogarnionej ludzkim rozumem obfitości wszelkiego stworzenia. Skoro bowiem istoty natury upatrywali w tajemnicy i skoro zdaniem światłych i uczonych badaczy przywodziła na myśl mgliste, okryte półprzezroczystą zasłoną malowidło utkane z nieskończonej rozmaitości prawdziwych i fałszywych świateł, czy istniał język na tyle sprawny i zasobny w słowa, żeby nim zdemaskować kłamstwa, pozory, iluzje, półprawdy, malując zwięźle, jasno, z umiarem i polotem?

Którym językiem zgłębi się naturę rzeczy? Który z języków znanych autorom księgi pozwoli zdolnemu skrybie, w istocie rzeczy zaś tłumaczowi ich myśli, ująć je w lekką, subtelną formę, żeby szydercom i czytelnikom nieumiarkowanym w krytyce nie dać pretekstu do śmiechu z niezgrabności dzieła i z tego, że gęsto zapisane stronice zalatują kurzem biblioteki?

Ojciec rozważał zalety mowy tureckiej, hebrajskiej, włoskiej, greckiej, polskiej i łacińskiej. Tyle że nie znalazł sposobu, aby ich użyć, bo każdy z twórców księgi znał inne języki, większość zaś tylko w takim stopniu, żeby sprawnie porozumiewać się na targach i w sklepach. Stąd niespodziewana myśl Stacha Marciniewicza o spisaniu księgi stworzonym w tym celu szyfrem.

Praca nad *Księgą Natury* stanowiła dla jej twórców szkołę obcowania z ludźmi różnych zapatrywań. Była to rzecz bez precedensu, a jej źródła można by upatrywać w przedziwnej atmosferze miasta, w którym za najgłówniejsze prawo uznawano równość obywateli. Dostrzegł to ojciec, a rad z tego, jak się nam żyje, napomknął, że w Zamościu doszło do rzadkiego zespolenia doskonałości architektonicznego zamysłu ze spra-

wiedliwymi i mądrymi rządami. Ceniono tu więc nie ucisk i przemoc, lecz wolność i współdziałanie.

Nad Zamościem istotnie czuwała jakaś miłosierna siła. Wraz z nastaniem mrozów czarna śmierć opuściła najpierw miasto, potem zaś przedmieścia, choć na odchodnym zebrała ostatnie żniwo. Ci, którzy schronili się przed morem na prowincji, teraz z ulgą, ale i ze strachem o los bliskich wracali do porzuconych domostw. Ci zaś, którzy jak my, nie bacząc na zagrożenie życia, zostali w mieście, jawnie dawali wyraz szczęściu i dziękowali Bogu. A każdy po swojemu i jak go nauczono: chrześcijanie w kolegiacie lub u franciszkanów, Ormianie w swoim drewnianym kościółku, my w synagodze.

Ponieważ z nastaniem zimy co słabszych prześladowały kaszel i gorączka, Dawida próżno by szukać w domu, bo od świtu pomagał chorym. Tymczasem Szikma przeniosła się do kuchni na parterze za kantorem, przy wielkiej izbie z oknami od strony dziedzińczyka. Kazała parobkowi znieść skrzynię z ziołami i odtąd tam warzyła nalewki, ucierała maści, mieszała mikstury.

Wkrótce zyskała rozgłos. Widziano w niej niewiastę wtajemniczoną w sekrety ludzkich słabości, w tajniki duszy i serca, a jako że człowiekowi najtrudniej powściągnąć uczucia (albo się do nich zmusić), najróżniejsi nieszczęśnicy prosili ją o zioła a to na rozbudzenie namiętności, a to na poskromienie żądz. Ale w sekrecie lub pod jakimś niewinnym pretekstem przychodziły kobiety z przedmieść i spoza miasta, i błagały o mikstury spędzające niechciane płody. Ryzykowały skórą, gdyż wykryte i osądzone niechybnie położyłyby głowę pod katowski topór. I Szikma mogła podzielić ich los. Mimo to nie słuchała przestróg. Wierzyła, że sprzyja jej szczęście.

Jakoś przed Świętem Świateł odwiedziła ją niespodziewanie Róża Balejowiczowa, żona Auksentego Balejowicza, znanego z zacności ormiańskiego kupca, który w kramie na Wielkim Rynku handlował przyprawami i złotem. Wieść niosła, że z Róży niewiasta cnotliwa i pobożna. Obnosiła się z wiarą w moc chrześcijańskiej modlitwy i trzymała ze swoimi, z dala od nas, mieszkańców żydowskiej ulicy. Stawała nieraz za ladą w mężowskim kramie, a ponieważ była zadziorna i popędliwa, ten kram – z nią pośrodku, z jej krągłym, lśniącym jak od oliwy licem, śmiałymi oczami, ustami, które nie zwykły milczeć, wreszcie z obfitym, ujętym w karby tureckiego jedwabiu ciałem o kształcie miękkiej i przejrzałej gruszki – stanowił nieporównywalne z niczym widowisko.

Ale tego dnia jakby nie była sobą. Zafrasowana przycupnęła w kuchni Szikmy na skraju skrzyni przykrytej kilimem. Przy świecach płonących w pozłocistym lichtarzu i w oparach dusznych aromatów ziół swe żywe, ruchliwe dłonie, z których kapało złoto, splotła na obfitym brzuchu. Spoczywały tam nieruchomo niczym ptaki spętane sznurem.

Zwilżyła wargi językiem. Chwilę szukała posmaku otaczających ją zapachów, które przylgnęły do jedwabiu i do skóry.

– Córkę wydaję za mąż – rzekła przez ściśnięte gardło.

Pokiwałyśmy z Szikmą głowami i czekałyśmy, aż kupcowa wyzna, z czym przyszła. Róża rozplotła dłonie, te zaś, odzyskawszy swobodę, wystrzeliły w górę. Każdy gest ciągnął sznureczek słów.

– Od przeszło roku Iwaszko Owaniszowicz przychodził do mojej Barbarki w konkury – powiedziała Balejowiczowa. – Nie przypadł jej do serca, nie naciskałam więc, żeby go przyjęła, choć sprzyjał mu mój mąż. Ale go przekonałam, że panna z niej niebiedna i tak urodziwa jak rzadko która, niech

powybrzydza, póki nie znajdzie się lepszy. Stanęło na moim. Byłam rada, bo z Iwaszki gwałtownik i okrutnik, a co gorsza wdowiec. Ale któregoś dnia mąż wrócił z wiosennego targu z zapowiedzią, że Barbarkę oddamy Iwaszce tej zimy. Spytałam, po co jej raptus. Zżymał się, lecz nie na Iwaszkę, a na mnie i na Bogu ducha winną Barbarkę. Aż rzekłam: niech będzie po twojemu. Żeby tylko dziewczyna nie płakała, bo tego nie zniosę. Latem narzeczeni wymienili pierścienie, spisaliśmy krorong[24]. A chociaż Barbarka wnosi w wianie okrągłą sumkę, Iwaszko musiał ją oprawić[25] na swoim domu i na tym młynie, co stoi na Lwowskim Przedmieściu. Odtąd słał jej podarki: koszule z cieniutkiego płótna, tureckie i adziamskie[26] tkaniny, haftowane złotem trzewiki, rodzynki, migdały, wonne korzenie i cudnej roboty zwierciadło, a ona, wdzięczna za pamięć, też odpłacała mu się godnie. Własnymi rączkami zagniatała ciasto na struclę, którą go częstowała, wyszywała dla niego chustki. Ale bladła mi z dnia na dzień i nikła w oczach. Spytałam więc, czy go miłuje, bo choć okazuje mu serdeczność, pęka mi serce, gdy widzę, jaka jest biała na liczku. Inna pewnie wyznałaby prawdę, a ta tylko zaciskała usta albo mówiła, że blednie ze szczęścia. Ślub w karnawale. Mnie zaś gniecie w dołku, że jestem złą matką i że nie ratuję córki przed nieszczęściem. A wczoraj o niej śniłam. Była martwa, bez kropelki krwi, jakby oprószona mąką. Przyszłam więc prosić o pomoc…

Szikma słuchała w milczeniu. Emanowała siłą, przenikliwe oczy zaszły połyskliwą mgiełką. Budziła podszyty strachem respekt przed tym, co prastare. Z istnienia takich sił zdawałam sobie sprawę w Wenecji, gdy ruszałam w taniec

---

[24] krorong, krorunk – kontrakt przedślubny
[25] oprawić – zabezpieczyć prawnie posag żony
[26] adziamskie – perskie

dla uczczenia żydowskiego karnawału. Czułam wtedy obecność tego, co pradawne i czemu niebezpiecznie jest ufać, chociaż nęci.

Bratowa wstała z krzesła. Odtąd, zamiast stąpać, jakby płynęła na wonnych oparach lilii i anyżu. Ważyła, odmierzała szczypty, wykonując dłońmi płynne, koliste ruchy, aż mieszanka suszu była gotowa.

– Dajcie to córce, gdy siądzie z Iwaszką do stołu – powiedziała. – A potem jemu. Dosypałam startego na proch rozchodnika, wkrótce więc obdarzą się stałym uczuciem i nie spojrzą na inną ani na innego. Chyba że jedno pomrze, bo tylko wtedy przeminie miłość wywołana tajemną mocą roślin. A Barbarka niech nie zdejmuje tego naszyjnika…

Wyjęła ze skrzyni mieniące się niebieskie szkiełka, mówiąc, że to potężny amulet, ochrona przed złym okiem, trucizną i raptownym zgonem. I choć radziła, żeby Iwaszce patrzeć na ręce, dodała ze smutkiem, że trudno odwrócić bieg losu.

* * *

Tamtego roku przepych zimy objawił się tuż przed Świętem Świateł, w miesiącu kislew. Niespodziewanie krótkie i brudnoszare dni odmieniła biel, a miasto doświadczyło cudownej metamorfozy. Przeistoczyło się w przestrzeń o luźnej, jakby iluzorycznej formie. Wszystko w nim było zmienne, ruchome, niczym wyjęte ze snu. I tylko niebo, jak raz wprawiony w ruch mechanizm, nad którym czuwa Pan wespół z miłującą ład i harmonię naturą, trwało na swoim miejscu. Ale i ono podlegało prawom innym niż latem, bo wiry gwiezdne, iskry księżycowego światła i stalowoszare chmury wojowały nieustannie o władzę nad firmamentem.

Ścierały się na kształt kół zębatych i przekładni olbrzymiego werku[27] albo niczym nieprzeliczone ruchome części astrarium o zwielokrotnionych tarczach, wychwytach i śrubach obracających się z chrzęstem i bez spoczynku. Aż po kres świata.

Ta niebiańska machina, bez wątpienia dzieło geniusza, była niepojętą konstrukcją. Odtwarzała ewolucje planet, ruchy Słońca i Księżyca, więc spoglądaliśmy na nią jak na spektakl. Podziwialiśmy arabeski z gwiazd, lisią czapę księżyca, kształty płatków śniegu ślizgających się na falach zmrożonego powietrza oraz ciszę westchnień, szelestów, szeptów ginących w zaspach. Porównywaliśmy je do tego nieba, którego marne skrawki lewitowały nad weneckim gettem i tym bardziej, w zdumieniu, zachwycie i z lękiem, spozieraliśmy na nie przez uchylone okna.

Śnieg nadał miastu kształt ułudy. Wzrok gubił się wśród rantów złagodzonych puchem, pobielonych zaokrągleń, cienistych zakamarków. Z upodobaniem śledziliśmy ich płynną srebrnobiałą formę, a także wąziutkie strużki z mozołem wydeptywanych ścieżek ścigające brodzących w zaspach ludzi. Gdyby więc spytano mnie, czy pokochałam Zamość, odrzekłabym, że zakorzenił się i umościł w moim sercu obraz zimowego nieba, przeczystego śniegu i bladego światła chanukowych świeczek.

Te świeczki paliliśmy przez osiem dni dla uczczenia triumfu Machabeusza nad Antiochem i upamiętnienia oczyszczenia zbezczeszczonej Świątyni. Oraz tego, że choć obrócono ją w pustkowie porośnięte trawą, odrodziła się z ruiny. Urządzono ją sprzętami ze złota, zapalono świeczniki, na ołtarzu spalono wonności, na stole położono chleby,

[27] werk – mechanizm zegara

o czym ojciec czytywał nam z Flawiusza. Zapominaliśmy więc o mrozie i zimie, zwłaszcza że służki paliły w piecach. Rozgrzane żarem szkandele[28] wsuwały ostrożnie w wychłodzone za dnia pierzyny z gęsiego puchu, dbając, żeby nie zaprószyć ognia.

Świat wokół domu jakby się skurczył. Życie przeniosło się do dusznych, na pół widnych wnętrz, do ciepłego, bezpiecznego azylu. Było trwaniem w murowanych ścianach izb, z wyprawami w zaspach do łaźni, synagogi, rzadziej do kramów, bo dzięki zapasom mogliśmy do woli grzać się przy ogniu i gorącej strawie. Gdy śnieg gęstą zasłoną okrywał Rynek Solny, dziedzińczyk, uliczki skrzyżowane na kształt pól szachownicy, grzęźliśmy w spowolnionym czasie. I tylko dzwony zamojskich świątyń, ich natarczywe nawoływanie, niosący się od domu do domu zew, przypominały nam o porankach i zmierzchu. Nic więc dziwnego, że w owym czasie każda awantura przekupek czy najbłahsze zdarzenie rzucało się w oczy. Zwłaszcza tym, którzy nabrali przyzwyczajenia spozierania na miasto przez okna.

Nabrałam go i ja, więc nie umknęła mi z pozoru niewinna scenka. Nieopodal kamienicy obok znajomo wyglądającego młodzieńca w czarno-brunatnym odzieniu stała dziewczyna w błękitach i karmazynach. Z nimi ormiański tłumacz, którego miejscowi kupcy najmowali dla lepszego porozumiewania się z przybyszami z Turcji. Mimo że sypał śnieg, poznałam Miriam i bratanka aptekarza. Spotkanie – krótkie, lecz niestosowne – wzbudziło moją czujność, postanowiłam więc przestrzec dziewczynę, że ludzie wezmą ją na języki.

Tamtej nocy nawiedził mnie też niepokojący sen. Stanowił echo trwożących myśli, że to, co nieprawdopodobne,

[28] szkandela – płaskie naczynie mosiężne lub szklane napełniane gorącą wodą lub żarem, służące do ogrzewania pościeli

zdarzy się ponownie. Ostrzeżenie padło z ust zmarłej matki, która kazała mi spojrzeć na zmąconą toń stawu. Miejsce było nieznajome, mimo to wiedziałam, że kto zanurzy się w wodzie, zginie w wirach i rzęsie wodnej. Raptem niedaleko brzegu, na skraju połaci tatarskiego ziela, wypatrzyłam Miriam. Oddalała się, krzyknęłam więc, żeby zawróciła i była ostrożna. Wówczas sen się rozwiał.

Rankiem poszłam do Miriam. Tkała, pochłonięta pracą. Malowała na tkaninie dziesiątkami barw, zacierając granice między nimi. Tworzyła iluzję świata. Liście i gałązki na gobelinie jakby drżały. Pierś biegnącej panny unosiła się i opadała. Wiatr przeczesywał jej rozplecione włosy, igrał ze zwiewną szatą, z pióropuszami traw. Dziewczyna pierzchała przed grozą, ta zaś, wciąż nieutkana, miała spłynąć niebawem na gobelin spod palców Miriam.

Gdy spytałam ją o spotkanie z bratankiem aptekarza, z niechęcią odsunęła się od krosna.

– Wywołał mnie przez tłumacza – odparła. – Poszłam z ciekawości, ale byłam dla niego chłodna, bo poznałam go tego dnia, gdy zgubiłyśmy się z Nursen. Był ze studentami, którzy zastąpili nam drogę. Trzymał się z boku i pewnie dlatego utkwił mi w pamięci. Ukrywałam to, żeby nie poróżnić twojego ojca z aptekarzem. Wczoraj chciałam mu rzec, co myślę o takich jak on, ale mnie ubiegł. Wyznał, jak dręczy go sumienie, że się za mną nie ujął. Wybaczyłam mu, bo mnie o to poprosił, nie mam jednak pewności, czy można mu ufać, więc go unikam.

– I słusznie – powiedziałam. – Uważaj na ludzi, których słowa zaprzeczają czynom.

Objęłam Miriam, przezorność tłumacząc obawą o jej przyszłość. Byłam widać przekonująca, bo obiecała rozwagę.

* * *

Na targ jesienny ściągali do Zamościa włóczędzy i żebracy, i zostawali do wiosny. Żywili się u zamożnych mieszczan, chętniej kołacząc do chrześcijan. Ale kiedy im tam nie otworzono, co zdarzało się rzadko, nie gardzili naszym jadłem. Ponieważ życie człowieka trudno nazywać życiem, gdy zależy od cudzego stołu i gdy się ma jedną koszulę, przyjmowaliśmy ich, bo mieliśmy przecież pełne garnki, oni zaś jadali chleb z żołędzi albo ze słomy.

Przesiadywali w kuchni Szikmy, grzejąc się przy ogniu. Było ich dwóch: w kożuchach z naderwanymi pągwicami[29] i w złachmanionych czapach. Dziadowską tułaczkę zaczęli z nadejściem wiosny na Rusi, lato spędzili we Lwowie, jesień i zimę w Zamościu. Zwaliśmy ich Obolewcem[30] i Kołozębem[31], bo jeden, z urodzenia mańkut, lewą ręką zabawiał dzieciarnię zmyślnymi sztuczkami, drugi zaś miał krzywe, poczerniałe zęby. Niekiedy wydawało się, że wiekiem równi są ojcu, ale częściej sprawiali wrażenie młodszych. Za gościnę, strawę parującą na drewnianych miskach i za pachnące pajdy chleba odpłacali opowiastkami. Od lat nigdzie nie zagrzali miejsca, włócząc się po jarmarkach. Zbratani z ludźmi gościńca, o nich rozprawiali najchętniej.

Bo kogóż tam nie było! Wędrowni kramarze, obraźnicy ze świętymi dla chrześcijan obrazami, gońcy z pilnymi pismami, niedźwiednicy z niedźwiedziami nauczonymi tańca i służenia przy stole w przesławnej akademii smorgońskiej. Oprócz nich linoskoczkowie, kuglarze, muzykanci, miasia-

---

[29] pągwica – guzik
[30] obolewiec – mańkut (wg Zenona Klemensiewicza)
[31] kołoząb – osoba z krzywymi zębami (wg Zenona Klemensiewicza)

rze[32] z Litwy, konowałowie z Rusi, uwolnieni cudem jeńcy tureccy, handlarze niewolników, dawni galernicy, wydrwigrosze, szulerzy. Ale najliczniejszą grupą szli żebracy i o nich słuchałyśmy najczęściej, dziękując Panu, że z nas ludzie osiadli.

Te opowieści niczym ojcowskie księgi miały cudowną moc przenoszenia nas do odległych i nieznanych miejsc. Noga za nogą, w skwarze albo podczas niekończącego się deszczu, wędrowałyśmy więc w wyobraźni, podziwiając niespotykane gdzie indziej dziwy i drżąc na myśl o niebezpieczeństwach. Dzięki wymowności Obolewca to, co powszednie, stawało się baśnią o miastach, kramach, jarmarkach, pałacach, pozwach sądowych, mężobójstwach, dzieciobójczyniach i luźnych ludziach[33]. Nikt nie wiedział więcej od niego o karczmach i karczmarzach, miejscowych weselach, nagłych i tajemniczych zgonach. O przepowiadaniu pogody z kształtu chmur, ptasiego śpiewu, rosy i z zachodu słońca. Gdy więc przez kaszę albo mleko prześwitywało denko talerza, dokładałyśmy więcej, żeby opowieść dobiegła końca właściwym dla niej rytmem.

Niektórych kłuła w oczy nasza szczodrość. Zapewne dlatego, że sami jej zaniechali, sparzywszy się, gdy żebracy, zamiast wdzięcznością, odpłacali kradzieżą srebrnych łyżek, rzeźbionych pucharków czy miedzianych garnków, co po chrześcijańskim nowym roku przytrafiło się Mojrze i Ormiance Jaroszowiczowej. Ale nie nam.

Niebawem odbyło się wesele Barbarki Balejowiczówny i Iwaszki Owaniszowicza. Ponieważ resztki ze stołów rozdzielono między służbę i żebraków, Kołoząb, czuły na historie ze szczęśliwym finałem, rozwodził się przy nas nad zaślubinami. W oczach panny młodej widział szczery, choć

---

[32] miasiarz – kastrator, człowiek parający się kastrowaniem zwierząt
[33] luźni ludzie – chłopi, którzy uciekli ze wsi wbrew prawu

stłumiony skromnością afekt, w oczach pana młodego namiętne miłowanie.

– Barbarka, czarnobrewka jak matka, wiotka niczym młoda brzózka, wystąpiła w diamentowej koronie, złocistej powłóczystej szacie i w haftowanych srebrem trzewikach, za które narzeczony zapłacił dwieście złotych – powiedział. – Iwaszko zaś prezentował się niczym ormiański książę w podszytym sobolami kontuszu ze złotymi guzami i w butach wyszywanych złotem. Żeby parze nie brakowało w przyszłości powodzenia i ludzkiej życzliwości, częstowano gości winem i wykwintnym jadłem. Ale strojnością szat i wystawnością święta małżonkowie rozdrażnili władze miasta i mieszczaństwo przeciwne nadmiernemu obnoszeniu się z bogactwem. Po cichu, z zawiścią, ludzie sarkali na ten brak umiarkowania.

W Zamościu trudno było ukryć coś przed sąsiadami, szeptano więc też zazdrośnie o krorongu. Na dowód, że spisano w nim skarby, Kołoząb wymienił złote łańcuchy, sznury pereł, czapki z atłasu, manele[34], zausznice, katanasze[35], spinki, złote koronki, pościel haftowaną jedwabiem, odświętne letniki, płaszczyki, spódnice, kabaty. Miriam, której przekładałam jego słowa, wykrzyknęła zdumiona, że choć w Stambule zaślubiny mają królewską oprawę, taki zbytek należy do rzadkości.

– Gdy Barbarkę i Iwaszkę powiedziono do ormiańskiej świątyni, przypadkiem przechodziłam nieopodal. Przystanęłam, bo rozwiązał mi się trzewik – powiedziała Szikma. – Młoda para wchodziła właśnie do kościoła, a za nią lśniła klejnotami ludzka wstęga. Goście, od stóp do głów w seraserach, muchajerach, jedwabiach nadpływali wartką rzeką,

[34] manele – bransolety, ozdoby na rękę
[35] katanasz – rodzaj wierzchniego ubioru kobiecego

która skrzyła się od złota i zadziwiających nieregularnością pereł. Ten urzekający widok przywiódł mi na myśl wspomnienie zaślubin z Rubenem, co wzięłam za dobrą wróżbę. Pomyślałam też, że choć nie da się uniknąć nieszczęść, zdarzają się dni triumfu, nadziei i dobra.

Nieco później bratowa wyznała, jak ją wzruszyła młoda para. Zapadła noc i byłyśmy w jej kuchni same, bo na Rubena przyszła kolej pełnić straż na murach miasta, a innych domowników zmógł sen. Szeptałyśmy, żeby nikogo nie zbudzić, ale również dlatego, że się zwierzałyśmy. Z uroczystą powagą dzieliłyśmy się myślami dla nas najwyższej wagi.

– Uwierzyłam w potęgę ich uczucia, choć nie było darem losu, a skutkiem działania miłosnej mikstury. Dlatego postanowiłam uczyć o ziołach Miriam. Tego rodzaju wiedza nie powinna zaginąć, bo nie znamy przyszłości i nie mamy pojęcia, co nas jeszcze spotka – oznajmiła Szikma.

– Boisz się czegoś? – spytałam. – Przecież Pan ci sprzyja.

Niespodziewanie podzieliła się ze mną nowiną. Była brzemienna i to odmienny stan stanowił główną przyczynę lęku.

– Jest mi tak, jakbym tonęła w mroku – wyznała słabym głosem.

Miałam przed sobą nową Szikmę! Przywykłam do odwagi, z jaką stawia czoło troskom. Tymczasem niepokoje niewiasty przy nadziei odsłoniły podatne na zranienia wnętrze. Jak mogłam ją pocieszyć, skoro i ja obawiałam się przyszłości? Co gorsza, nie panowałam też nad teraźniejszością, bo gdy zdarzeniom brakowało logiki, nie znajdowałam dla nich wyjaśnienia.

Tymczasem Szikma spytała o bliźnięta Chai.

– Od Rubena niczego nie mogę się dowiedzieć – rzekła. – Gdy o nich mówię, odpowiada śmiechem, próbując zamienić mój strach w beztroskę. Domyślam się, że ma na względzie

moje dobro i spokój. Ale jak przezwyciężę lęk, skoro ukrywa prawdę? A jeśli i ja urodzę ułomne, niezdolne do życia dziecko?

– Co chcesz wiedzieć? – spytałam.

– Czy przed rozwiązaniem Chaja miewała koszmary? Czy przeczuwała, że wyda na świat monstra? Powiedz, jaką była żoną, żebym oddzieliła domysły od prawdy i abym nie powtórzyła jej błędów. A może nie bez przyczyny powiła ułomnych chłopców? Pan ukarał ją za straszliwy grzech, za nieprzystojność, za złamanie Prawa czy ja wiem zresztą za co?

– Każdy ma swoją miarkę cierpienia. Kto przeżył bez niego czterdzieści dni, ten na całe życie otrzymał już wszystko, co możliwe – odrzekłam.

– Nie uniknę go zatem – powiedziała z westchnieniem. – Ruben przyznał, kiedy się poznaliśmy, że nie był bez winy. Chaja błagała, żeby jej nie opuszczał, a on, głuchy na te prośby, wyruszył w rejs, który się przeciągnął. Boję się, że i mnie odmówi, gdy poproszę, aby został. Dlatego powołam się na prawo, według którego mężczyzna, poślubiwszy niewiastę, nie opuszcza jej w pierwszym roku małżeństwa, chyba że rozdzieli ich śmierć. A gdyby to nie pomogło, zwrócę się do ciebie, Hilo, jako do jego siostry, żebyś mnie poparła. Przypomnij mu, że trzeba się uczyć na błędach i obiecaj, że staniesz po mojej stronie.

Nie umiałam jej odmówić. Dałam uroczyste słowo i żeby podnieść ją na duchu, wyszeptałam, że nie ma powodu do obaw.

– Nic nie zapowiadało nieszczęścia Chai – przyznałam. – Ale dlaczego miałoby spotkać ciebie? Przyzwalając na nie, Pan dotknąłby nas powtórnie, a nie znam przyczyny tak wielkiego okrucieństwa.

– I ja tak sądzę – z ulgą odparła Szikma. – Byłaby to przecież kara za naszą miłość, a nie ma w niej grzechu. Przeciwnie, mnie uczyniła silniejszą, a Rubenowi przywróciła radość życia. Po raz pierwszy zobaczyłam go z okna, gdy szedł z ojcem ku mojemu domowi. Przypatrywałam się obu, niewidzialna i bezpieczna, i czułam, jak kołacze mi serce. Miałam przed sobą młodego mężczyznę i starca, lecz coś mi mówiło, że to pozory, bo starzec mocno stawiał kroki, młodszy zaś gość jakby się wahał, namyślał i zwlekał. Rozglądał się i badał otoczenie, lecz bez zaciekawienia, bez iskry w oku. Nie pokochałam go od razu. Co więcej, nadskakiwał moim siostrom, wzięłam go więc za lekkoducha łasego na niewieście wdzięki. Noc wszystko odmieniła. Dostrzegłam w nim wtedy przedziwny rozdźwięk i niezagojoną ranę, i bardzo mu współczułam. Ale był też zabawny, gdy odkryliśmy go w ogrodzie! Pokąsany przez pszczołę, mętnie tłumaczył najście, żebyśmy nie domyślili się prawdy. Ale zdradziły go spojrzenia, bo choć nie byliśmy sami, pochłaniał mnie wzrokiem. Najpierw za jego zuchwałość obwiniałam nadmiar wina, potem wszystko stało się jasne. Opatrzyłam mu policzek i wówczas jakby zaraził mnie swoją chorobą. Miłuję go, Hilo. Mimo to nie straciłam ostrości spojrzenia. Nadal wyczuwam u niego skłonność do wahania i jestem pewna, że nie zabliźniła się rana zadana przez Chaję. Martwię się więc. A choć znam się na ziołach i na amuletach, nie potrafię czytać w księdze czasu.

– Nikt nie zna przyszłości, póki nie nadejdzie – uspokoiłam ją.

– Mylisz się – oświadczyła. – Gdzie byłby mój ród, gdyby nie dar przewidywania tego, co nieuchronne? Miała go moja babka, a wcześniej jej matka, babka i prababka. Czytały ze snów i z przeczuć, i nawet w księżycowym blasku

i w kształcie chmury widziały omen. Nieraz uratowały nasz dom przed nieszczęściem. Choćby wtedy, gdy królowie Kastylii skazali moją rodzinę na wygnanie i schroniła się pod berłem Jana Portugalskiego, który za osiem talarów od głowy sprzedał hiszpańskim Żydom gwarancję nietykalności. Ale podarowany czas szybko minął. Król rozkazał im opuścić Portugalię statkami podstawionymi na nabrzeża. Celem była Afryka, a podróż do niej Żydzi opłacili złotem, które zasiliło królewski skarbiec. W tamtych dniach moją babkę nawiedził sen o dziadku tonącym w morskich odmętach, przekonała go więc, żeby zostali w Portugalii. To uratowało im życie, bo ci, którzy wypłynęli, padli ofiarą spisku. Głodzono ich, wystawiano na wiatr i deszcz, lżono i bito, na koniec doszczętnie złupiono. Przetrwało niewielu. Wysadzeni na ląd, bliżsi byli śmierci niż życia. Tymczasem dziadek wywiózł rodzinę z Portugalii za rządów Emanuela, następcy Jana. Osiedli w Stambule, gdzie niebawem dotarły straszne wieści. Emanuel odebrał żydowskie dzieci ich rodzicom, żeby oddać je na wychowanie chrześcijanom. Ten niecny wyrok wywołał mrożące krew sceny. Z rozpaczy i bezradności osierocone matki traciły zmysły. Niektórzy – licząc, że ubiegną królewskich siepaczy – ukrywali dzieci w przydomowych studniach. Wielu zadawało im śmierć, a potem sobie i bliskim.

– Słyszeliśmy o tym – powiedziałam.

– Mimo to ojciec niczym najcenniejszy skarb przechowuje klucz do odebranego nam przemocą kastylijskiego domu. I nie zapomnieliśmy o tamtych niewiastach, bo dzięki nim przetrwaliśmy prześladowania. Rozumiesz, dlaczego spodziewam się ratunku tam, gdzie znaleźli go moi przodkowie?

– Czy nie byłoby roztropniej zdać się na Pana i na miłość męża? – spytałam.

– Zdaję się na nią. Wiem, ile znaczę dla Rubena, a i on podbił moje serce. Ale lękam się o przyszłość naszego małżeństwa.

Szikma chwyciła moje dłonie. Przylgnęła do nich ustami, ja zaś, zdumiona i zmieszana, mocno ją objęłam.

– Nie opuszczę cię – obiecałam. – Wyperswaduję Rubenowi wyprawę, choćby mi przyszło trzymać go w domu pod kluczem.

Rozbawiłam ją. Przemawiałam do niej długo, aż upewniła się, że może mi zaufać. A przecież i mnie dręczył niepokój, bo nie umiałam przewidzieć, jakie dziecko powije Szikma.

* * *

Niebawem znów odwiedziła nas Róża Balejowiczowa. W kuchni bratowej pachniało lawendą i tymiankiem, a jako że buzował ogień, na izbę buchało gorąco. Z przejęcia lub z winy ciepła Ormianka poczerwieniała, lecz była jakby pewniejsza. Usiadłszy na ławie, chwilę milczała, mnąc ruchliwymi palcami rąbek spódnicy.

– Pieniądze przychodzą i odchodzą, bo tylko łaska Boska jest nieskończona – powiedziała. – Ale gdy narzeczony kryje przed rodzicami panny, o którą zabiega, że na młynie, co to na nim obstawił wiano, wiszą długi, a prawda o tym wychodzi na jaw dopiero po ślubie, krew gotuje się w człowieku! Iwaszko bajał o swoich bogactwach, i uwierzyliśmy, bo czemu nie? Skoro nie ma w Zamościu człowieka, który zwróciłby się otwarcie przeciwko niemu? Skoro jeśli o nim gadają, to po cichu, między swoimi, w czterech ścianach? Zamydlił nam oczy i zamiast nadstawiać uszu, urządziliśmy zaręczyny, a po nich weselisko z winem, muzykantami, mnogością

wszelakich cukrów i świec wyższych od tych w kościele. Łatwo nas sobie zjednał! Miałam go za raptusa i nie dałabym za niego złamanego grosza, a potem lałam łzy ze szczęścia. Zwiodły mnie pozory: żowohurt[36] z marszałkiem, misternej roboty kawazar[37] przystrojony haftowaną chustką, kołacze, miodowe pierniki, kury dla księdza, upominki dla weselników. Dałabym głowę, że nad moją Barbarką czuwa sam Grzegorz Oświeciciel! Ale gdy wydały się kłamstwa, wygarnęłam Iwaszce, jaki z niego łotr i hultaj. Szczęściem zapisaliśmy Barbarce sowite wiano i ma z czego żyć. Dla niej nakłaniamy zięcia do spółki, żeby stanął za kramem, tyle że unosi się honorem. Leń z niego, obibok, hulaka i utracjusz! Roztrwonił posag pierwszej żony, roztrwoni i Barbarki! Jestem więc tu i błagam o radę. O zioła, które odmieniłyby jego charakter.

Oczy Róży ciskały gromy gniewu. Z jej ust pełnych i ruchliwych, skorych do uśmiechów, wypływały potoki słów, lecz raptem usta te zamilkły. Połykały duszne kuchenne powietrze niczym u wyrzuconej na piasek ryby.

Tymczasem Szikma jakby usłyszała i zobaczyła więcej, niż jej wyznano. Domyśliła się wszystkiego, również zatajonego, bo się ocknęła i przywołała Nursen. Wyjęła ze skrzyni sakiewkę, a po izbie rozeszła się woń anyżku.

– Niech Barbarka napoi tym męża – powiedziała. – Nie da odmienić się natury Iwaszki, ale można nagiąć jego wolę, żeby chętniej poddawała się waszej.

Róża pochwyciła sakiewkę. Odwdzięczyła się okrągłą monetą, ta zaś, oświetlona ogniem z paleniska, zapłonęła złotem.

---

[36] żowohurt – orszak kawalerski
[37] kawazar – laska

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa
tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

Książka została wydrukowana na papierze
Ecco Book Cream 60 g/m^2 wol. 2,0.
ANTALIS Polska

Redaktor prowadzący *Joanna Wajs*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Redakcja *Magdalena Adamska*
Korekta *Roma Sachnowska, Krystyna Lesińska*
Redaktor techniczny *Paweł Nowicki*

ISBN 978-83-10-13211-6

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia", Warszawa 2018 r.
Wydanie pierwsze
Druk: Drukarnia POZKAL, Inowrocław